

Wychodzi 2 razy w miesiącu



ADRES REDAKCJI
I ADMINISTRACJI:
Poznań, ul. Młyńska 5

KONTO P.K.O. nr V-945/113
NR TELEFONU 518-55

PRENUMERATA:
rocznie zł 16,—
kwartalnie zł 4,—
pojedynczy numer . . . zł 0,70

OGŁOSZENIA
drobne: 1 słowo . . . zł 0,30
napis: 1 słowo . . . zł 0,60
reklamy 1 cm² . . . zł 1,20

*Wszystkim prenumeratorom, czytelnikom i sympatykom naszego pisma,
życzymy*

ZDROWYCH I SZCZĘŚLIWYCH ŚWIĄT!

Redakcja i pracownicy Wydawnictwa „EMERYT”

Zawierucha

Nie takie bywały dawniej zimy jak teraz. Nie wiem, co wpłynęło na zmianę, czy opanowanie przestworzy przez aeronautykę wzgl. przez fale eteru, czy przez elektryczność, gaz, kolej albo jakieś zjawiska atmosferyczne, że w stosunku do dawnych, obecne zimy są sielankami, niewinną zamianą deszczu na śnieg, który pada czasem na pociechę dla saneczkarzy i narciarzy, nie przypominając niczym dawnych, długich, ostrych i strasznych zim, podczas których roły się notatki prasowe o licznych zamarznięciach podróży, o napaściach wilków, o zamarzaniu studni, o szalejących zawiejach śnieżnych, w których ginęli ludzie wraz z końmi.

Z okazji świąt Bożego Narodzenia przypomnę starszym, uprzytomnię młodszym, jak wyglądała zima za moich czasów chłopięcych, mniej więcej przed sześćdziesięciu latami.

Był grudzień, zbliżały się święta, gruba powłoka śnieżna pokryła ziemię, przywaliła dachy chat wiejskich, wyrównała wgłębienia rowów, zawiąła drogi i ścieżki. Trudno było przebrnąć śniegami od jednej chałupy do drugiej. Mrozy były tak ciężkie, że mimo niewygasania ognia w piecach ściany wewnętrzne izb szklily się lodem, ziemia stękała krzepnąc, strzelały główki gwoździ w gontach dachów, dotknięcie gołą ręką żelaza groziło oderwaniem skóry z dłoni.

Jednego z takich wieczorów, kiedy niewidoczny artysta mróz malował okna rzeźbiąc na nich nigdy nie spotykane liście paproci i nenufarów, orchidei i palm a ja moim zwyczajem wlepiełem na zamazane szyby żołnierzy idących do ataku i cwału-

jących ułanów, usłyszałem jak ojciec mówił do matki, że zdołał namówić trzech gospodarzy na przywiezienie drzewa i że musi z nimi pojechać do lasu. Zbliżyłem się do rodziców i zacząłem prosić ojca, by zabrał mnie z sobą a równocześnie błagałem wzrokiem matkę, by mi pomogła. Uśmiechała mi się przejażdżka saniami; prośbę moją poparła matka. Zdaje mi się, że nie tylko moja, ale każda matka zrozumie niemą prośbę dziecka.

— Zrób mu tę przyjemność, — mówiła, — weź go z sobą, nie widział jeszcze lasu w zimie, niech zobaczy jak to wygląda.

— Marznie stale w nogi, — bronił się ojciec, — odmrozi je, będziesz miała kalekę w domu.

Tatulu pozwól mi pojechać, prosiłem, nic mi się nie stanie.

Uległ w końcu.

Jazda w piękny mroźny dzień do odległego o 14 km lasu, była prawdziwą przyjemnością, pamiętam ją jak dziś, razem z jej skutkami. Oszonione konie parskały wesoło, płozy sunęły lekko po utartej drodze, mróz nie dokuczał mocno, miałem na sobie kożuszek, długie buty i czapkę z nausznikami. Od czasu do czasu zeskakiwałem z sań i biegłem za nimi, by się rozgrzać. Gorzej było w lesie, w wąskich wyboistych koleinach, gdzie biegać było trudno, gdyż musiało się brodzić śniegiem obok sań po wykrotach.

Urok zimowej szaty leśnej zrobił na mnie silne wrażenie. Biały puch śnieżny, niepokalanie czysty, skrzył się na podszyciu lasu i migotał złotymi iskierkami. Kryształowe, zimne powietrze, przy najlżejszym podmuchu wirowało leciuchną śnieżną